



BIBLIOTHECA
UNIVJAGELL
CRACOVENSIS

kat. komp.

82215

I

83



82215

I



82213

C. N. GEBETHNER &
SP. A. WOLFFA
KRAKÓW, 1908

I

P

DZIEŹY SZKOLNEJ 83



WARSZAWA 2 NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW 2 G. GEBETHNER I SPÓŁKA 2 1908

6 kop. — 16 hal.

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

	Kop.
53. Sienkiewicz H. Za chlebem	20
54. „ „ Z pamiętnika nauczyciela poznańskiego . .	10
55. „ „ Sielanka — Legenda żeglarska	6
56. Siemieński L. Portret króla Jana. — Posłowie siewierscy . .	6
57. „ „ Włeczór u gen. Kopcia. — Włazanka konwali . .	6
58. Sienkiewicz H. Orso — Sachem	8
59. Gomulicki W. Oracz. — Filemon i Baucis. — Nieprzespany sen pani Maciejowej	6
60. Kosiakiewicz W. Sarna. — Literatura mojej żony. — Nabo- żeństwo majowe	8
61. Sewer. Łusia Burlak	10
62. „ Włosna	10
63. „ Dola	8
64. Dygasiński A. Co się dzieje w gniazdach	8
65. Sieroszewski W. Kulisi	10
66. „ „ W ofierze bogom	8
67. „ „ Bokser (Uang-Ming-Tse)	6
68. Kaczkowski Z. Bitwa o chorążankę	10
69. Prus Bol. Cienie. — Z legend dawnego Egiptu. — W górach .	6
70. Konopnicka M. Wojciech Zapala	5
71. „ „ W Winlarskim forcie	5
72. „ „ Urbanowa	5
73. „ „ Miłosierdzie gminy	8
74. Lenartowicz T. Wybór poezyi	8
75. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Wybór poezyi	10
76. „ „ Janko Cmentarnik	6
77. Hoffmanowa Klem. Dzlennik Franciszki Krasieńskiej	20
78. „ „ Listy Elżbiety Rzeczyckiej	15
79. Czerneda M. (Bierzyński). Nieplakany	6
80. „ „ Kancelista	6
81. Kraszewski J. I. Żywot i przygody Imci Pana Józefa z Gozda Hrabi Gozdckiego — Pan Starosta Kanłowski	10
82. „ „ Jak się dawniej listy pisało	6
83. „ „ Psiarek	6
84. Wilczyński Ad. Przykładna kara	6
85. Chodźko Ign. Samowar	6
86. „ „ Domek mojego dziadka. — Śmierć mojego dziadka	10
87. „ „ Boruny	10
88. Górski K. M. Biblioman	6
89. Lenartowicz T. Zachwycenie	4
90. Korzeniowski J. Karpaccy górale	10
91. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Ułaz	8
92. „ „ Kęs chleba	8
93. „ „ Jan Dębóróg	10
94. „ „ Trenzłowe — Spowiedź P. Korsaka	10
95. „ „ Wielki czwartek	8
96. Asnyk Adam. Wybór poezyi	8
97. Ujejski K. Wybór poezyi	8
98. Pol Wincenty. Pieśń o ziemi	10
99. Wasilewski Edm. Wybór poezyi	6
100. Zaleski J. B. Wybór poezyi	12

E. DEMOLDER

SĄSIEDZI

OPRACOWAŁA

Z. N.



Biblioteka Jagiellońska



1000547698

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908



82, 2157 I

83

SĄSIEDZI.

Józef jest stolarzem. Co dnia zrywa się z jutrzenką, której złote promienie oświecają potem jego męską, barczystą postać, spieszenie przebiegającą puste, uśpione ulice. W pracowni, na białym dębowym warsztacie czeka już na niego niecierpliwy hebel z połyskliwym ostrzem i piła srebrzysta, z zębami zatopionymi w piękną klonową tarcicę, ujętą silnie w mocne kleszcze.

Józef podnosi się zwykle ostrożnie, po izbie chodzi na palcach i ubiera się cicho, żeby nie pobudzić śpiących dookoła dzieci. Wie on, że starszy człowiek, zahartowany przez trud i życie, musi w pocie czoła pracować na kawałek chleba — ale dzieci, zanim wyrosną na tęgich, zdrowych ludzi, długo potrzebują ciepła rodzinnego gniazdka, czy ono wysłane puchem, jak u ptaszków, czy miękką pościelą u zamożnych, czy choćby słomą, paprocią, ło-
dygami owsa, jak po wsiach u chłopów.

Gromadka stolarza sypia na heblowinach i drobnych, delikatnych wiórkach, co mienia

się niby złote, niby promienne loki, klęczących na świętym obrazku aniołków. Aromatyczne, pachnące, przepojone żywiczną wonią sosen — wydają się dzieciom jakby królewskie posłanie. I do snów słodkich kołyszą zmęczone całodziennem bieganiem główki, a kiedyś, kiedyś, po długiem pracowitem życiu, utulą cicho na spoczynek wieczny — bo z desek sosnowych ostatnie ziemskie posłanie człowieka.

Ale tego ranka — a właśnie był ósmy października, i niebo całą noc płakało, pewnie litując się nad ubogimi, bo to smutny dzień wypłaty należności na mieszkanie, — tego ranka stolarz zerwał się rażno z pościeli, zanim jeszcze promyk słoneczny przebił szare chmury — i zaczął nawoływać dzieci, żeby się odziewały bez zbytków, a prędko.

— Dalej! dalej, smyki! — powtarza gromkim głosem. — Nie marudzić! Ubierać się duchem! Przeprowadzka!

Zbliża się teraz do okna i przeciera ręką zapotniałe szyby. Brr! Co za pogoda! A na podwórku moknie z rezygnacją wózek, na którym mają przewozić dobytek. Czy się tylko pomieszczą?!

Ubogi stolarz mieszka w suterenie, i słońce, żeby przedrzeć się do ciemnej izby — musi prześlizgać się między kratami żelaznych balkonów i ganków, przybranych w cudne kwiaty, które piją światło i ciepło całem wnętrzem rozchylonych z rozkoszą kielichów.

Szczęśliwe kwiaty! Szczęśliwsze od dzieci, gnieźdzących się w ciasnej suterenie, gdzie niezdrowa wilgoć obsiada nagie mury szarozielonawą pleśnią.

Wilgoć stąd właśnie wypędza stolarza.

Józef pracuje za sześciu, ale rozumie dobrze, że do tego potrzeba przede wszystkim zdrowia. Broń Boże, paraliżu, albo innego nieszczęścia! Tymczasem ostatniej zimy coś się dziwnego wyprawiało z ręką! Ocieężała, osłabła, łamało po stawach. Więc heblował z podwójnym zapalem, wbijał gwoździe w pocięczała — zło przeszło, chwala Bogu — ale nie myśli się więcej narażać. Z pewnością zawiñła wilgoć. Więc też wynalazł schludną, obszerną stancyjkę i z uśmiechem myśli o nowym mieszkaniu!

— Ależ prędzej! — woła co chwila na żonę. — Raźniej zbierajcie się. Wstawać malcy!

Bose nóżki wesoło dudnią po podłodze, dzieci ubierają się z pośpiechem, gorączkowo, najmłodsze przecierają zaspane oczy drobnymi piastkami, krzyk, wrzawa, zamieszanie. Wreszcie dziesięcioletnia Tośka z powagą ciągnie na wózek spory pakunek rupieci, drugą ręką przytrzymuje na głowie chwiejące się mocno krzeselko. Lulu, osiem lat liczący, z przejęciem dźwiga sporą klatkę z przerażonymi niezwykłą bieraniną kanarkiem, a sześcioletni Józio oburącz piastuje jakieś drogocenne, błyszczące skorupki.

Ojciec z matką przymocowali na wózku

łóżko i białą, kredensową szafkę, najzbytkowniejszy mebel ubogiej stancyjki; dzieci znoszą pakunki, zawiniątka, paczki — jakieś chusteczki pełne tajemniczych skarbów — całe stosy!

— Nic już nie zmieści się więcej! — oznajmia wkońcu stolarz z wielką stanowczością.

Ale żona z niezachwianym spokojem nawleka jeszcze na drąg wózka nieduży, obficie sadzami okopcony kociel, potem cebrzyk, kosz, koszyczek, koszyk... wreszcie starożytną, nawpół wyłysiałą miotłę.

Lulu, który umie czytać, sylabizuje zwolna, z dumnym błyskiem w oczach: *wy-wy-na-jem wó-wózków rę-ręcznych*. Napis bieleje ogromnemi literami na jaskrawem, szkarłatnem tle szerokich desek; trochę niżej wymalowano: *Za godzinę pobiera się 20 groszy*. Zielone koła, barwy spinaku i trawy, nadają pojazdowi wiosenny jakiś wygląd.

Nakoniec! Józef zaciska rzemienne pasy na ramionach, i cały orszak rusza z miejsca tryumfalnie. W mieszkaniu zostaje tylko samotny stos pomiętych wiórów i roje ściennych, brązowych zwierzątek. Tośka uroczyście niesie ślubny bukiet matki i ogląda się ukradkiem na opuszczony przed kilku minutami domek. Jak ładnie pną się kwiaty po tych gankach! Szkoda, że było wilgotno, wielka, wielka szkoda...

Idących wkrótce mija inna, podobna gromadka.

— Ooo! Nowi lokatorzy — szepczą dzieci, obrzucając tamtych ciekawem spojrzeniem.

— Już wolne! — objaśnia stolarz z uprzejmością.

— Dziękujemy!

Przypatrują się sobie nawzajem ciekawie.

Mijają jednostajnymi rzędami biegnące ulice, które powoli ożywiają się porannym ruchem. Tu i ówdzie ukazują się czysto pomyte dorożki, przekupki otwierają ubogie sklepiki, rachują stosy zakupionych gazet — tam znów z pośpiechem dążą na targ zieleniarki, z koszami przepelnionymi salatą i czerwoną marchwią — inne uginają się pod ciężarem rumianych jabłek i wonnych, jesiennych owoców. Gdzieniegdzie powiewają czerwone chorągiewki wędrownych farbiarzy, dalej jeszcze suną usmolone postacie roznoszących węgiel — budzi się życie, rośnie, potężnieje, aż ku południowi tryśnie wielkomiejskim zgiełkiem.

A teraz wszyscy przyprzegają się rażno do wózka. Ulica podnosi się, zakręca, wstępuje na górę — stolarz ciągnie ubogi dobytek z trudnością, aż się rzemienie powpijały w ciało, aż pot kroplami sączy się po czole. Pochylił głowę, żyły mu nabrzmiały fioletową pręgą. Nagle świst przeraźliwy przecina powietrze, pociąg z głuchym chrzęstem przebiega tunelem, i prawie równocześnie wózek za-

trzymuje się przed niewielkim, niskim, białym domkiem.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmia ojciec wzruszonym mimowoli głosem.

— Tak tu jakoś dziwnie — odzywa się nieśmiało Tośka. — Tak jakoś inaczej.

Wszystkie parterowe okna są otwarte, z kilku buchają siwe pary pralni, przez inne widnieją długie, wąskie stoły, otoczone rzędami dziewcząt w jasnych bluzkach — ręce uzbrojone w maleńkie żelazka migają szybko, sprawnie, jednostajnie. Z najbliższego okna wychyla się świeża rumiana twarz hożej prasowaczki, ze skupieniem i wprawą prasuje śnieżnej białości koszulę. Nagle podnosi głowę, chwilę przypatruje się stojącej przed domem gromadce, potem przyjazny uśmiech ożywia jej usta.

— Dzień dobry wam, sąsiedzi — zaczyna uprzejmie. — Jakoś nie szczęści wam się na początek! Nie możecie się jeszcze wprowadzić, bo pani Lavolle wczoraj dopiero umarła, a jutro będzie pogrzeb. Niespodziewanie zmarło się biedaczce. Onegdaj zachorowała, już na wpół żywa przywlokła się z miasta. Ledwie doniosła swój koszyk z towarem do progu. Pomogłyśmy staruszce rozebrać się, położyć, i zaczęła kasłać, kasłać, kasłać! Serce się krajało słuchać, jak się biedna męczy! No, i umarła w nocy! Gospodyni właśnie chciała was uprzedzić — pociście tak rano wstali?!

Rzemienie zaprzęgu wysunęły się z rąk

stolarza, i wózek opuścił się ciężko na ziemię. Rozsypały się z głośnym brzękiem garnki i garnuszki, cebrzyk z kotłem zwarły się głuchem zderzeniem.

— Co począć teraz?! — wybiegło z ust skłopotanego ojca.

— Wracajcie do siebie — radzi prasowaczka ze szczerem współczuciem i przysuwa do policzka świeżo rozgrzane żelazko.

— Dawne mieszkanie nasze już zajęte — objaśnia Józef bezradnym tonem.

— Masz tobie!

Chwila głuchoj ciszy — potem rozlega się stłumiony płacz stolarzowej. Co teraz będzie? Gdzie się podzieją z dziećmi? I taka jest zmęczona!

Tośka rozumie także zmartwienie rodziców i głośno wtóruje matce, a łączy, jak groch wielkie, sypią się na woskowe kwiaty ślubnego bukietu. Wkrótce cała gromadka zawodzi piskliwym, przyciszonym chórem — Józio i Lulu nie wiedzą, o co tam właściwie chodzi — ale — z przyzwyczajenia — to robią co wszyscy.

— A cicho — tam — do stu tysięcy! — klnie nakoniec rozgniewany ojciec. — Zaraz mi przestać tego chlipania, smarkacze! Że matka się martwi, to już myślą, że im wolno wyprawiać brewerje! Cicho!

Prawie jednocześnie w drzwiach ukazuje się tęga kobieta, w pięknym, kunsztownie rurkowanym czepcu i badawczem spoj-

rzeniem ogarnia przybyłych. Po chwili twarz dobrotliwa oblewa się wielką litością.

— Biedaki! — szepcze do siebie serdecznie. — Tyli drobiazg — rzeczy — i bez da-
chu, bez łyżki ciepłej strawy!

Zbliża się powoli do zmartwionej rodziny stolarza — zaczyna rozmowę, wypytuje — nagle jasny uśmiech rozjaśnia jej rysy.

— Znalazłam lekarstwo na waszą biedę — odzywa się wesoło. — Przyjmijcie sąsiedzką grzeczność. Mąż mój jest woźnicą i zajmujemy tutaj sporą izbę z kuchnią. W kuchni sypia wprawdzie Stefan, syn nasz, także woźnica, jak ojciec, ale przyjąłabym was szczerem sercem. Będzie ciasno, zawsze jednak lepiej, niż moknąć na dworze. I na noc coś się wymyśli, nie damy przecie sąsiadom spać pod gołym niebem.

— Dziękujemy z duszy. Niechże wam Pan Bóg wynagrodzi za tę dobroć — odpowiada stolarz miękko.

— I coś przekąsić się znajdzie — ciągnie po krótkim namyśle pocziwa kobieta. — Doleje się do zupy trochę wody, szczyptę soli więcej — i pożywimy się wszyscy. Najgorzej będzie ze spaniem. W stajni jest kilka snopów świeżej słomy — ale ponadto nie mam nic lepszego! Konie są spokojne i nie zrobiłyby nic złego, tylko... Jedna noc przeleci prędko — kończy prawie nieśmiało.

Ale słowa jej w gromadce wywołują zachwyt. — Z gęstwiny ciemnych i złocistych

włosów błyszczą rozpromienione spojrzenia uszczęśliwionych malców, niby szafirowe oczy chabrów w wybujałym zbożu.

— Ojcie! Tatku! Tatusiu! — podnosi się głośnie wołanie. — Czy pozwolisz? Czy się zgadzasz na to, co mówi ta pani?!

— Wsiadę na konia! — prosi radośnie najstarszy.

— A ja go wezmę za ogon tak, żeby nie widział — oznajmia Józia z powagą.

— Czy będzie można je pogłaskać? — pyta Tośka lęklwym, przyciszonym szeptem.

Maleńka Lili czepia się rąk siostry. I ona chce także. I ona chce należeć do tego wybranego towarzystwa.

Na twarzy stolarza maluje się wielkie wzruszenie. Mocno ściska wyciągniętą przyjaźnie rękę poczciwej sąsiadki. Przyjmuje z wdzięcznem sercem, da Bóg, że kiedyś odplaci w dwójnásób.

Tymczasem niebo przesłoniły znowu ciężkie chmury, i deszcz mżyć zaczął drobnym, mokrym pyłem. Więc wózek z rzeczami zaraz wsunięto do szopy i zastawiono starym, połamanym wozem. Lulu związał dowcipnie dwa zwisające od wózka rzemienie; urządził na prędcie huśtawkę. Czas mu przynajmniej nie będzie się dłużył!

Pani René, poczciwa sąsiadka, ofiarowała dzieciom talerz, pełen świeżych kromek chleba, ale wszystkie odmówiły grzecznie. Nie nadużywajcie gościnności — ostrzegala je nie-

dawno matka. I gospodyni wróciła do przerwanej pracy, zadowolona, że rozpoczęła dzień dobrym uczynkiem. Stary tam pewnie trochę wieczorem pozrzedzi, że tyle sobie sprawiła kłopotu, ale i on rad będzie w gruncie rzeczy, bo sam jest z kośćcami poczciwy. A Stefan jak się ucieszy! Bo niby to już dorosły, niby nawet pracuje na siebie, ale tak naprawdę — to jeszcze z niego wielki dzieciak — w niedzielę nieraz całemi godzinami bawi się drewnianą frygą. Więc z radością pożartuje z dziećmi.

Stolarz raz jeszcze podziękował za gościńnię i z rozpogodzonym czołem pobiegł do warsztatu. Tak mu na duszy lekko i świątecznie. Są więc serca poczciwe na świecie. Z zapalem, rażno posuwa heblem po chropowatym drzewie.

A rozbawiona gromadka otoczyła matkę z wielką prośbą.

— Chodźmy gdzie, mamó — powtarzają gorąco, błagalnie. — Chodźmy na spacer. Niech dziś będzie święto.

I pogoda łaskawa: chmury się już rozpierzchły, i błękitnieje wszędzie czyste niebo. Stolarzowa waha się krótką chwileczkę — dzieci rzeczywiście mają słuszość — tak mniej kłopotu narobią sąsiadce.

— Pójdziemy za miasto, do lasu — mówi wreszcie z uśmiechem.

Malcy klaszczą w ręce, oczy im błyszczą, promieniają twarze.

— Och! Dobrze! Dobrze!

— Co za szczęście!

— Czy zobaczymy owieczki z pastuszką? — odzywa się prosząco Lili.

— A czy tam są wilki? — podchwytuje Lulu trochę niepewnym głosem.

Tośka już była z ojcem, więc teraz wyręca matkę i opowiada rodzeństwu, że tam jest prześlicznie. Chłód, cieniste ścieżki, ogromne, piękne drzewa.

— Chodźmy! Chodźmy jak najprędzej! — woła płaczliwie Józio.

I cały orszak wyrusza z bramy uroczyscie — Tośka piastuje pusty koszyk. Wstępują do piekarza, matka kupiła ogromny bochen jeszcze gorącego chleba, trochę dalej u rzeźnika kilka apetycznie pachnących kiełbasek. Tośka dzisiaj sama załatwia sprawunki, wybiera, próbuje, targuje się, jakby dorosła osoba. i czuje się niezwykle dumną z nowej roli.

Teraz posuwają się piękną, szeroką aleją. Daleko, na przeciwnym końcu widnieje wspaniały pomnik. Aleją toczą się długim szeregiem pojazdy, kiedy niekiedy przemknie jeździec na pięknym wierzchowcu, czasem wojskowy ze świecącymi guzikami.

Zbliżają się wreszcie do lasu. Na drzewach, liściach, trawach już się pokładły jaskrawe barwy jesieni, migoce czerwień i złoto, poprzez gałęzie, niby cieniuchne strzały, drżą wąskie smugi słonecznego światła, krople niedawnego deszczu załamują je tysiącem blasków.

A wszędzie ruch, wesołość, życie! Wszędzie słonecznie, promiennie i jasno.

W jednej z głównych alei bawi się gromadka strojnych dzieci. Śmieją się, biegają, grają w chowanego, fruważą po zaroślach, niby zwinne, barwne motylki i ptaszki. Świeżo przybyła gromadka przygląda im się z uwielbieniem.

Ale stać i patrzeć to się prędko sprzykrzy. Więc rozbiegają się po lesie, błędzą w labiryncie pni poważnych jodeł, topoli i sosen, ostrożnie dotykają złotawych pasm kory, z rozkoszą gładzą mchy aksamitne, wonne, delikatne trawy. I nagle z przytłumionym, radosnym okrzykiem rzucają się na ciemnozielone krzaki czarnych jeżyn, małe ząbki zanurzają się chciwie w soczystym owocu.

A potem wszystkie pędem wracają do matki.

— Mamo! Mamusiu! Jeść się chce okropnie! — wołają zgodnym, rozbawionym chórem.

— Daj nam chleba, kochana, chleba i tych wybornych kielbasek.

Stolarzowa spojrzała uważnie na słońce. Dziesiąta być musi, nie więcej, a dzieci od świtu nic prawie nie jadły. Siada na pniu jakiegoś zwalonego drzewa, bierze na kolana drogocenny koszyk, drobiazg otacza ją łaknącym wieńcem. Kochany, dobry koszyk i dobra mamusia, co pomyślała, że malcy pewno

będą głodne. I z miłością podnoszą oczy na bladą, zadumaną matkę.

Stolarzowa rozchyła zwolna krawędzie koszyka, wyjmuje chleb, zapasy, kraje, przyrządza, dzieli. Potem zapada uroczysta cisza — kielbaski, białe kromki, znikają błyskawicą w głodnych ustach dzieci, milczenie przerywa tylko pospieszne chrupanie jedzących. Aż ptaszki wokoło pomilkły, z ciekawością przekrzywiają główki i lękliwie przyglądają się ludzkiej rodzinie. A kiedy odeszli wszyscy i w szmaragdowej trawie rozsypali białe okruszyny — ptaszki zleciały zewsząd rojną chmurą, skrzętnie wydziobały resztki, a potem zaśpiewały dzieciom hymn dziękczynny.

A dzieci przeniosły się w inną, ustronniejszą trochę część lasu i całą duszą korzystają z niezwykłego święta, całymi pierściami piją ożywcze, pełne żywicznych zapachów powietrze. Już bawili się w kotka i w myszkę, w czarnego luda, w cztery kąty, a teraz śpiewają: »Stoję, stoję na gorącym kamieniu« — i skaczą na jednej nodze wkółko, jak szalone. Chłopcy wdzierają się na większe drzewa i z upragnieniem szukają wiewiórek. Teraz znów zaczynają grać w lisa i gąskę. Lulu z zapalem kopie spory dołek, Tośka prowadzi młodsze dzieci i suną wśród drzew długim sznurem:

- » — Kopię, kopię, dołeczek do wody grzania
- A na co ta woda?
- Do gąsek parzenia.

- A skąd te gaśki?
- Od ciebie kupię.
- A jeśli nie dam?
- To ci połapię! —

I tak się pomęczyli, że droga powrotna dłużyła się strasznie, a pomęczone nóżki z trudnością stawiały równe, jednostajne kroki. Słońce już zaszło, poszarzało wszystko, z pomiędzy drzew wypelzły jakieś tajemnicze cienie i przejmują dzieci dziwnem, niemilem uczuciem. Głód przytem kruczy po pustych żołądkach, a tu dziś ani ognia, ani nawet domu, matka nie uwarzy zupy.

Stolarzowa nieśmiało puka do mieszkania gościnnych sąsiadów. Już przez drzwi zamknięte dochodzi odgłos brząkających łyżek: kolację widać jedzą.

— Proszę wejść! — ozwał się szorstko głos męski.

Aż się dzieci cofnęły, zdjęte nagłym strachem.

— Tatusiu! Chcę do tatusia! — zaczyna Lili nawpół z płaczem.

Stolarzowa zmieszała się także, drżące ręce dotknęły klucza zamiast klamki, przekreśliła — zamknięte! Ktoś wstrząsnął drzwiami ze środka — darmo — ani drgnęły.

— Masz, babo, placek! Otośmy w klatce — zrzędzi głos mężczyzny z niezadowoleniem.

Dzieci rozpierzchają się po ciemnych zakątkach podwórka, niby spłoszone stado głodnych wróbli. Po chwili okno stancyjki otwiera

się z chrzęstem i na bruk zsuwa się wysmukła postać.

— To głupstwo! — Nic wielkiego! — uspakaja struchlałą kobietę, która w splątanych słowach tłumaczy swoją niezręczność.

— Zamek zardzewiały — objaśnia chłopak łagodnie. — Trzeba z nim umieć się obchodzić! Znam ja się dobrze z tym gratem.

Dotknął, zakręcił, i drzwi otworzyły się z głuchym łoskotem.

Zbiegły się zewsząd ośmielone dzieci, wkraczają powoli do izby.

Na stole pali się nieduża, migotliwa lampka, na zydlu wygodnie siedzi stary woźnica, obok żona. Przyjaźnie skinął pani Józefowej głową i zaraz bierze na kolana najmłodszego malca, ostrożnie gładzi powichrzone włoski, do drobnych ustek przytyka łyżkę ciepłej zupy.

— Dobrze! Oj, dobrze! — szepcze z cicha dziecko.

I otwiera szeroko buzię.

— Ha! Ha! Ha! Niczem głodne piskłę! — śmieje się z dumą woźnica. Czuje, że większej przyjemności nie sprawiłoby mu nawet ujeżdżenie najdzikszego konia. Takie przytulne, pocziwe dzieciątko!

A stolarzowa przeprasza, kłania się, dziękuje, wita serdecznie sąsiadkę.

— Dziękuję pani, dziękuję za dobroć — powtarza cała pomieszana. — Za kłopot przepraszam i za wszystko.

— Ale gdzież tam! Co znowu! Przyjmujemy całem sercem!

Gospodyni ustawia przed przybyłemi fajansowe głębokie talerze, nalewa dymiącego kapuśniaku aż po brzegi, i zgłodniała gromadka zasiada do uczty. Oczy się malcom błyszczą, ostrożnie, zwolna dmuchają na gorącą zupę. Ulubiony przysmak.

I znajomość zawarła się prędko — gwar — wesołe śmiechy. Białe ściany izdebki oddawna nie pamiętają takich hałaśliwych czasów i przyglądają się rozbawionym dzieciom z pełnem powagi zgorszeniem. Stary woźnica opowiada jakąś cudowną historję, i wszyscy słuchają z przejęciem. O dziewiczym lesie bez drogi, ni końca, o małpach, co wędrownemu kramarzowi ukradły podczas snu towar — bawelniane czapki, i przystroiły niemi brunatne czupryny.

— To dopiero! Biedaczysko! I co? Co dalej? Co się potem stało? — dopytują zaciekawione dzieci.

— Szczęśliwie skończyło się wszystko — uspakaja staruszek gromadkę. — Bo to, widzicie, małpy zawsze naśladują ludzi, o tym zwyczaju wiedział mądry kupiec i nawet nie zmartwił się bardzo, kiedy się obudził, tylko zdjął z głowy własną czapkę, otrzepał i wsunął do podróznego worka. A potem ukrył się za drzewem. Przez chwilę było cicho, później zewsząd zaczęły zbiegać się zwinne małpki — wszystkie potrząsały czapkami i chowały

troskliwie do torby. W kilka sekund towar powrócił do rąk pana.

Zaległo króciutkie milczenie. A wtem drzwi skrzypnęły i w progu stanął spracowany stolarz. Zdumionem spojrzeniem ogarnął stół, talerze, własną rozweseloną gromadkę.

— Czy nie nadużywacie gościnności państwa? — zwraca się z niepokojem do żony.

Pani Józefowa porusza przecząco głową. Gdzież tam! Tacy pocziwi, serdeczni ludzie! Więc zrzuca z ramion wór pelen pachnących, świeżych, miękkich wiórów, potem drugi mniejszy, odwiązuje zwolna węzły worka.

— Przyniosłem coś dobrego — mówi tajemniczo.

I z dumą składa na stole pięknie opakowaną w czysty, lśniący papier — głowiznę sporego prosięcia, przystrojoną w przezroczyście paski żółtej galarety.

Potem wita się z gospodarstwem; — uprzejmy sąsiad zaprasza na zydeł, do siebie, na poczesne miejsce, sąsiadka nalewa zupy, stolarzowa podsuwa przyniesione prosię, częstują się nawzajem całem sercem, a dzieci oddawna nie pamiętają takiej uczy. Bal prawdziwy!

Na zakończenie zjedli parę przewybornych jablek, które gospodyni wyjęła z głębi spiżarnianej szafy. Teraz Stefan ofiarowuje się zabawić towarzystwo. Wyciąga z kieszeni duży kościany guzik, końcem nożyka ostrzy uważnie zapalną, przetyka ją przez środek — i fryga gotowa! Zakręca z roz-

machem i wprawą, i kręci się jak szalona, furkocze, brzęczy, niby żywa pszczołka. Dzieci z uwielbieniem śledzą prędkie ruchy, chłopcy ukradkiem odrywają po jednym guziku od kurtek, proszą o zrobienie podobnej zabawki. Już teraz kilka fryg kręci się po stole, zbiegają się i oddalają, uderzają z przyciszonym furczeniem, coraz prędzej migają, coraz prędzej, prędzej, jakby oszołomione śmiechem i wołaniem malców, niektóre przewracają się i dyszą ciężko, inne tańczą i tańczą w rytm skocznej, zawrotnej melodji, — policzki płoną, oczy błyszczą, promieniają twarze, dzieci głośnem klaskaniem objawiają radość.

I patrzyłyby chyba tak bez końca, gdyby nie stanowczy głos ojca. Dość już zabawy, noc krótka, a ze świtem przecie trzeba zerwać się do pracy.

— Spać pora! — oznajmia swojej gromadce donośnie.

— Z końmi! Z konikami! Z końmi! — zrywa się uradowany chór głosów.

Spiesznie podnoszą się wszyscy, stary woźnica zapala dużą latarnię, i wychodzą na podwórko. Przez rozbity szybę latarki wpada nagle ostry podmuch wiatru, bez ceremonji zakreca płomieniem, i knotek kopci, chwieje się czerwone światło. Pan René odsuwa zwolna ciężkie rygle, i dzieci z tłumionym oddechem wkraczają do zaczarowanego królestwa. Lampka rzuca migotliwe blaski i oświeca stajnię bladą smugą: drabiny, pełne żółtych obroków,

snopy złocistej słomy, uprząż, jeszcze dalej istnieje czarna głębia...

— Cieś! Cieś! koniki! — cmoka przyjaźnie woźnica.

W odzew przypływają trzy radosne rżenia, i prawie jednocześnie czuje dotknięcia nieśmiałych, dziecinnych rączek. Malcy aż drżą z niecierpliwości i trochę ze wzruszenia, nie z bojaźni przecież, broń Boże!

— Nic się nie bójcie! — mówi staruszek z dobrocią. — Nic, a nic, zupełnie. One nie robią krzywdy najdrobniejszemu stworzeniu. Chodź, Lulu, chodź, zuchu, śmiało.

Dzieciak zbliża się trochę lękliwie.

— Nastąp się, Siwa! — woła rozkazująco woźnica i uderza klacz po zgrabnym zadzie. Konie zdziwionym wzrokiem mierzą nocnych gości.

Siwa porusza się z godnością i powtórnie zagłębia nos w pełnych drabinkach. Pan René sadza jej najstarszego chłopca okrakiem na grzbiecie. Nawet nie raczyła się obejrzeć!

— Takbym chciał pojechać na tym czarnym — odzywa się Józio błagalnym półszepcetem.

Stefan podnosi małego jak piórko, potem Lili. I siedzą już oboje. Aż zaniemówili z radości. Koń z uległością znosi te zachcianki, cóż mu przeszkadzać może taki drobiazg, niewiele co cięższy od muchy!

— A teraz dosyć! — komenderuje po

chwili staruszek. — Spać pójdziemy wszyscy. Zostawiam tu na noc latarnię.

Zawiesza ją na wielkim haku.

— Ulokujcie się, moi państwo, jak możecie — ciągnie po krótkiej przerwie trochę ciśzej. — Radzę tylko uważać na dzieci. Zawsze to przecie zwierzęta. Dlatego najlepiej byłoby wszystkim drobiazg zapakować do tamtego kąta, a wy, sąsiedzie, moglibyście położyć się gdzie koło Siwej. Ona najspokojniejsza, tak będzie najlepiej.

Szepczą coś jeszcze na stronie.

— To i do jutra. Do jutra, jeśli was zastanę żywych! — żegna wesoło, żartobliwie. — Dobrej nocy!

— Cofa się z synem do proga.

— Trochę tu pachnie — ale trudno — ofiarowane zato szczerem sercem — dorzuca półgłosem.

Pani Józefowa rozpostarła rzędem złote snopy, ułożyła dzieci pokotem od ściany, okryła kołdrą, sama legła przy nich, i w niespełna godzinę zapanowała niczem niezmacona cisza. Tylko ojciec pocziwy walczy ze snem, ciężącym uporczywie na powiekach. Od czasu do czasu kopyto końskie donośniej dźwięknie po podłodze, więc zaraz powtarza surowym, groźnym głosem:

— Tss! Siwa! Bo jeśli się ruszysz!

I trwało tak do trzecich kurów; a wtedy zbudziła się matka i zluzowała męża w męczącym czuwaniu.

O piątej woźnica z synem zjawił się po konie.

— Jakże się spalo?

Głos starego odstręczający, ostry, prawie suchy, ale oczy patrzą pocziwie, serdecznie. Taki już zawsze: napozór szorstki, w gruncie choć do rany przyłóż, najzaczniejsza dusza.

— Dzieci przespały jednym tchem, ani zbudziło się żadne — odpowiada stolarz, trąc ociężałe powieki. — Myślę, że Jezusikowi i Matce w stajence Betleemskiej nie mogło być lepiej. A ja szczęśliwy jestem, jak sam święty Józef. Do końca życia nie zapomnę pocziwości waszej i tej nocy. A tem więcej, że następna nie będzie do pozazdroszczenia. Co prawda, to sto razy wolę stajenny zapach, niż wprowadzać się do izby po umarłym!

— Słusznie mówicie, sąsiedzie — przytakuje staruszek z powagą. — To też zawierzcie doświadczeniu i zróbcie, co radzę. Okna nowego mieszkania całą noc zostawcie otwarte, to najdzie świeżego, czystego powietrza, a sami z rodziną jeszcze prześpijcie się tutaj. Nic was nie będzie kosztowało, a o wiele zdrowiej. Ja tam nie miałem łóżka, dopókim się nie ożenił. A zdrów jestem dotąd, jak ryba. I wam nie zaszkodzi.

W oczach stolarza błyska szczerą radość, gorąco ściska wyciągniętą rękę. Przyjaźń na resztę życia!

Tymczasem Stefan czyści z troskliwością konie, raz po raz po lśniącej skórze przesuwa

dużem zgrzeblem*), a zwierzęta uległy się poddają operacji, łakomie dojadając owsa. Aż dzieci się pobudziły, unoszą się na posłaniu, przecierają oczy i przyglądają się niewidzianemu nigdy obrządkowi. Stefan zakłada na szyję Siwej wielkie, obciągnięte niebieską skórą chomąto, potem przekłada ogon w podogonie, zaciska rzemienne popręgi. Teraz zakłada uzdę i pomiędzy wielkie, żółte zęby klaczy wsuwa błyszczące wędzidło. Dzieci z podziwem patrzą na młodego chłopca: toż musi być mądry, a mocny! Lulu i Józio zapinają ubranie z pośpiechem i już na krok nawet nie odstepują Stefana, który zaprzęga konie, nakłada jakąś kapotę, obramowaną jaskrawą listewką, wskoczył na kozieł, ujął cugle, trzasnął z bata, aż się rozległo po podwórku, i ruszył z uroczystą miną.

— Na bok!

Zadudniało, i wóz zniknął w mgłach porannych i w szarych obłokach kurzu, co zerwał się nagle tumanem.

Gromadka dzieci rozpierzchła się po dziedzińcu, szperają, zwiedzają wszystkie kąty. Wtem w bramie ukazali się dziwni, od stóp do głowy czarno przystrojeni ludzie. Malcy z nowiną pobiegli do izby.

— Grabarze! Żałobnicy!

— Przyszli po tę staruszkę — objaśnia półgłosem sąsiadka.

*) Szczotka druciana do czyszczenia i czesania koni.

Stolarzowa wychyla się z mieszkania, rozytuje, namyśla się krótką chwileczkę. Pogrzeb natychmiast wyruszy na cmentarz. Przy trumnie stoi sama jedna kulawa jakaś starowina — siostra zmarłej.

— Nie czekamy na nikogo — odzywa się nagle martwym, stępionym głosem. — Mnie jedną miała biedaczka na świecie.

Karawan rusza z przeciągłym jęknięciem. Staruszka kulejąc, z trudnością podąża za trumną — lzy ciche spływają po zwiędłej, pomarszczonej twarzy.

— I my idziemy także — oznajmia pani Józefowa dzieciom. Okropnie żał jej tej kaleki, współczucie ludzkie każdemu miłe w ciężkiej chwili. Tamta umarła niczego już nie potrzebuje, ta żywa stokroć biedniejsza.

Biegnie pospiesznie do szopy, rozwija zawiniątko, wyciąga czapki chłopców, kapelusz dla siebie, pomięte wszystko, pogniecione, ale trudno. Kładzie swój na głowę z rezygnacją, resztę rozdaje dzieciom.

Dogonili orszak i posuwają się teraz w milczeniu. Po chwili przyłącza się jeszcze prasowaczka w świeżo wyrurkowanym czepeczku.

Idą długo, długo. I dzieci jakoś spoważniały. Lulu nie rozumie, czemu ludzie zdejmują czapki: przed grabarzami może, czy przed ciałem? A cmentarz tak daleko. Staruszcze tyle nie kłaniali się przez całe życie, i nigdy pewno nie jechała takim ślicznym wozem.

I tak dziwnie smutno patrzeć na tę drugą, jak skuloną, ze zwieszoną głową, posuwa się za trumną. Nie wiadomo naprawdę, która z nich biedniejsza.

Ale kończą się przecież i największe smutki.

Umarłą na cmentarzu powitały dzwony przeciągłym, żalobnym graniem, grabarze trumnę spuścili do ziemi, ksiądz pokropił poświęcaną wodą, każdy z obecnych rzucił garstkę piasku, i skończyło się wszystko.

Z powrotem zwyciężyło życie... I choć zmęczeniu, ale szli jakoś weselej i raźniej.

— Ciekaw jestem, dlaczego teraz nam się ludzie nie kłaniają?! — dziwi się Lulu.

Na zakręcie ulicy usadowiła się przekupka z piecykiem i straganem, pełnym świeżutko obranych ziemniaków. Co chwila miesza warząchwią w kociołku, na wszystkie strony rozchodzi się przyjemny zapach. Kulawa staruszka powoli zbliża się do sprzedającej, wyjmując z kieszeni garść błyszczących groszy, coś objaśnia kobiecie półgłosem, i przekupka po sześćkroć zanurza wielką łyżkę w kipiącym kociołku, napelnia tłuszcem papierowe, żółte torebki w kształcie zgrabnych łódek, na wierzchu składa przyrumienione, gorące kartofle, przyprawia solą i podaje uradowanym dzieciom.

Dziękują dobrej staruszce, i całe towarzystwo zasiada na dużej ławce, ocienionej zakurczonym, nawpół ogołoconym już z liści kasztanem. Jakaż to była przewyborna uczta!

Jak przyjemnie odpoczywać pod cieniem drzewem i zjadać takie przysmaki! Na cmentarzu przybłąkał się do nich jakiś wychudły, zbiedzony pies, i teraz każde z dzieci litośnie rzuca mu kawałek kartofla. Niech i on się pożywi, niech pokosztuje dobrego! Nie na tem koniec! Dobra staruszka spostrzegła zmęczenie dzieci, zatrzymała omnibus, który nadjeżdżał właśnie, i zaprosiła wszystkich. Malcy nie chcieli prawie wierzyć uszom, nigdy w życiu jeszcze nie jechali takim pięknym wozem. Wdrapali się na wierzch pomostu jak wiewiórki, matka dopomogła wsiąść kalece, i teraz mkną długim szeregiem ulice, aż oczy bołą patrzeć, aż w głowie się mąci.

Cudna, niezapomniana podróż! Tłumy przechodniów wyglądają z wysoka, niby czarne, we wszystkie strony poruszające się muszki, lśnią szyby sklepów, w oknach migają towary barwnym, nieskończonym szlakiem, zabawki jakieś nieznane, nęcą owoce, ciastka...

Nakoniec omnibus zatrzymał się przed małym domkiem, wysiedli wszyscy.

W przyszłym mieszkaniu ktoś już na roścież pootwierał okna, światło i ciepło napływa szeroką falą, słońce złoci sufit, podłogę i ściany, kolorową tęczę przegląda się w szybach.

Staruszka wchodzi pierwsza, za nią stolarzowa, potem dzieci.

— Uboga spuścizna! Ubożuchna — szepcze kaleka pobladłemi usty — lzy znowu świecą

w przejrzystych, wyplakanych oczach. Smutnym wzrokiem obejmuje waziuchny tapczan, stół o trzech nogach, dwa połamane krzeselka, trochę odzienia, zawieszonego na haku na ścianie, — biednie, szaro, pusto. Ciszę przerywa tylko jednostajny głos zegara, którego twarz zniszczona odbija błękitną barwą od białego muru i w dół się chyli ciężko, oplątana brudno-szarą pajęczyną. Ze wszystkich kątów wieje dziwną pustką.

— Zegar jest jeszcze dobry — zwraca się staruszka po chwili głuchego milczenia do stojącej na uboczu stolarzowej. — Przyjmijcie go ode mnie na pamiątkę i jako dowód wdzięczności za to, żeście się okazali pocziwie względem zmarłej siostry, żeście jej nie zmącili spokoju. I zachowajcie te trzy koszyki orzechów, — starym zębom nic po tem, a dzieciaki będą miały uciechę, co się zowie! A resztę rupieci zabierze gałganiarz.

Raz jeszcze ogarnia izdebkę wilgotnem spojrzeniem.

Potem całuje dzieci długo i serdecznie.

— Do widzenia — szepcze zdławionym ze wzruszenia głosem. — A jeśli znajdziecie w jakiej dziurze parę groszy, to zabierzcie z czystym sumieniem. Mnie już niedługo do ziemi, a chcę, żebyście życzliwie wspominali zmarłą.

I kiedy stolarz powrócił wieczorem, zastał już wszystko w największym porządku. Kąty wymiecione czysto, pod białą ścianą ciem-

nieje łóżko ze świeżą pościelą, nad niem zegar z wymytą starannie tarczą. Na sosnowym kredensie połyskuje szereg fajansowych talerzy, dwa półmiski i waza w piękne żółte i czerwone kwiaty; pani Józefowa znalazła to w jakimś kącie, przysypane grubą warstwą dziesięcioletniego kurzu. Stół na środku, wokoło krzesła i stolki, pod oknem zydeł, zasłany wzorzystą chustą; — porządnie, czysto, aż przyjemnie spojrzeć!

W starej pończosze pomiędzy ubogiem ubraniem znaleziono jeszcze złoty pieniądz z wizerunkiem Napoleona. Jak gwiazda błyszczał wśród mnóstwa czarnych, wytartych groszaków. Tośka przeliczyła je z uwagą — było sto dwadzieścia sześć małych pieniążków. Potem przyszła kolej na orzechy. Tych nikt już nie miał odwagi policzyć, alboż to istnieją liczby, zdolne określić te nieprzebrane masy?! Trzy duże kosze, pełne dojrzałych, zdrowych, prześlicznych orzechów?? Dzieci raczyły się przez całą zimę ulubionym przysmakiem, a całe życie nie przestały wspominać z wdzięcznością pocziwej staruszki; kiedy zaś umarła, na grób obydwóch nosiły w dzień Zaduszny zielone gałązki jedliny i kwiaty.



BIBLIOTHECA
VNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS



BIBLIOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

	kop.
1. Anczyc Wł. L. Zółw i Makolągwa, powiastka	6
2. Amicis E. Moi koledzy	10
3. — Mały patrijota	6
4. Chrzászczewska J. Szare kaczatko. — Duże i Małe . .	8
5. — Królestwo grzybów. — Tocią	6
6. — Bal u pani Żaby — Czarodziejska kukulka . . .	8
7. Andersen H. Historia roku. — Dziewczynka z zapalkami	6
8. — Brzydkie kaczatko	6
9. — Ropucha. — Krasnoludek	6
10. Niewiadomska C. Za późno	6
11. — Lat temu 900	6
12. — Słoneczko. — Na świeżem sianku	6
13. Kipling R. Bracia Mowglego	6
14. — Rikki-tikki-tavi	6
15. Zaleska M. J. Obłoczek. — Przygody rodziny jeźwów .	5
16. — Wędrowka Celinki. — Wieszcza okruszyn . . .	6
17. — Wojtuś. — Michałek. — Podejrzenie.	6
18. Daudet. Obłężenie Berlina	6
19. — Koza ojca Bartłomieja. — Ze wspomnień kuro- patwy	6
20. Kraszewski J. I. Królewicz Bolko	5
21. Niewiadomska C. Wnuczka Kazimierza	5
22. Sienkiewicz H. Pod Zbarażem (z pow. «Ogniem i Mieczem»)	12
23. Teresa Jadwiga. Rycerz Błękitny	10
24. — Słowianie: uroczystości i obrzędy	6
25. — Bolesław Chrobry	6
26. Bukowiecka Z. Zalew kopalni	6
27. — Legendy górnicze	6
28. Warnkówna J. Wędrowka kwiatów	5
29. — Na łące — Amator jajecznicy	6
30. Weryhówna M. Sierota. — Nad Wisłą. — Sikoreczka .	5
31. Szymanowska Z. Bez. — Scyzoryk. — Biczysk — Su- kienka	6
32. — Niewidomy. — Kraszanki	5
33. — Rodzina królików. — Muszka i pajak	5
34. Jachowicz St. Bajki i wiersze (wybór)	8
35. Chęciński Jan. Wybór wierszyków	6
36. Niewiadomska C. Bardzo dawno. — Królestwo skał . .	5
37. — Przyjaciółki. — Waluś	6
38. — Bez przewodnika	8
39. Lenartowicz T. Zachwycenie	4
40. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Janko Cmentarnik .	6
41. Gawalewicz M. Królowa niebios. Legendy o M. Boskiej	10
42. Morawska Z. Koronaeja Zygmunta Augusta	6
43. Lenartowicz T. Wybór poezji	8
44. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Wybór poezji . .	10
45. Hoffmanowa Klem. Wybór powiastek	8
46. — Dziennik Franciszki Krasieńskiej	20
47. — Listy Elżbiety Rzeczyckiej	15
48. Chrzászczewska Jadwiga. Upał. — Sosna	6
49. Krakowowa Paulina. Wybór powiastek	6
50. Andersen H. Kwiaty Idalki	5

BIBLIOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

	kop.
51. Andersen H. Coś. — Len	6
52. — Cień. — Spiewak z pod strzechy	6
53. Amicis E. Na tonącym okręcie. — W szpitalu	6
54. — Od Apeninów do Andów	8
55. Kipling R. Kot, który chodził własnymi drogami. — Słoniątko	6
56. — Ankus królewski	6
57. — Toomai od słoni	6
58. Asnyk A. Wybór poezji	8
59. Ujejski K. Wybór poezji	8
60. Anczyc Wł. L. Daleka podróż dwóch piesków pokojowych	5
61. — Swierszcz. — Błędne ogniki	5
62. — Rozbitki na wyspie Jan Mayen	6
63. Zaleska M. J. Cztery prządk. — Robotnicy P. Jakóba	6
64. — Gwiazdka. — Najlepsza zabawa	5
65. — Wiewiórka. — Pogrzeb szczura	5
66. Teresa Jadwiga. Stacho	10
67. — Pogrzeb ostatniego Jagiellona. — Elekcy	6
68. Sienkiewicz H. Pod Grunwaldem. (Ustęp z Krzyżaków)	8
69. — Zdobyć Kamieńca. (Ustęp z Pana Wołodyjowskiego)	6
70. Niewiadomska C. Z życia Mickiewicza	6
71. — Dotrzymuj słowa. — Koledzy. — Samolub	6
72. — Noc sierpniowa	6
73. Daudet A. Napad szarańczy	6
74. Andersen H. Królowa śniegu	8
75. — Matka. — Anioł. — Sosna	6
76. Zaleska M. J. Wesele zięby	6
77. Zaleski Józef Bohdan. Wybór poezji	12
78. Pol Wincenty. Pieśń o ziemi naszej	10
79. Wasilewski Edmund. Wybór poezji	6
80. Sienkiewicz H. Jurand ze Spychowa. (Z Krzyżaków)	15
— 81. Demolder E. Kwiciareczka	6
— 82. — Mała służąca	8
— 83. — Sąsiedzi	6
84. Pape-Carpantier M. Historia siwka. — Dwa koty	6
85. Szymanowski W. Jan Gutenberg	6
86. — Lew Canovy. — Salvator Rosa	8
87. — Gustaw Waza	6
88. — Anna księżniczka Bretanji	8
89. Bełza W. Młodość Sobieskich	6
90. Amicis E. Mali niewidomi	6
91. Kipling R. Kaa na polowaniu	8
92. Andersen H. Dziecię elfów. — Polny kwiatek	6
93. Zaleska M. J. Bajeczki babuni	6
94. Anczyc Wł. L. Motyl i gąsienica	6
95. Sienkiewicz H. Łowy w puszczy	6
96. Zmorski R. Wieża siedmiu wódzów	6
97. Bukowiecka Z. Kazimierz Wielki	6
98. — Nasi praojcowie	8
99. Dyakowski B. O świstaku	6
100. — Z życia termitów	6





